

O artyzmie Ireny Eichlerówny

Widziałem pierwszą rolę Eichlerówny, w której od razu zaznaczyła się jej osobowość. W Krakowie, z początkiem lat trzydziestych, gościł wymiennie teatr lwowski, kierowany przez Wilama Horzycę. Grano sztukę sensoryjną, gorzej: szpiegowską. Szedłem więc na ten spektakl z oporami ambitnej młodości. Ale uprzedzenia zaczęły szybko zniknąć. Nie znana jeszcze nikomu Irena Eichlerówna wymową swego spojrzenia, swych ogromnych i pięknych oczu, brzmieniem głosu, nadała postaci znaczenie bez porównania większe niż to, które wynikało z tekstu Jerzego Tepy „Fräulein Doktor”.

Mińło kilka lat. Eichlerówna była już aktorką warszawskiego Teatru Narodowego i otrzymała słynną rolę Szimeny w „Cydzie” Corneille’a — Wyspiańskiego. Tyle wielkich aktorek grało przed nią ową postać, tragicznie optymistyczną. Ale Eichlerówna zdołała dać tej dziełczyni zupełnie nowy liryzm. Obserwowałem salę. Ze sceny na scenę, z minuty na minutę rosło wrażenie, zachwyt, wzruszenie. Tylu różnych ludzi znalazło się na widowni, tylu wyznawców odmiennych stylów. Jednak

czuło się jednomyślność tej publiczności, jedność owej wielości, solidarnej wobec dokonani młodej aktorki.

Tuż przed wojną zagrano w Warszawie „FRENEZJE”. Peyret-Chappuis. Tłumacz nielustnie zmienił tytuł na „Szaleństwo”. A przecież właśnie o ową frenezję chodziło, o fizyczne, a zarazem duchowe przeżywanie osobliwego stanu fascynacji nieodłącznej od rozpaczki. Kilku znakomitych aktorów i aktorek brało w tym udział. Lecz oczy widzów kierowały się przede wszystkim ku Eichlerównie. Meji recenzji dałem tytuł, który miał określić wrażenie: „Pod ciężarem wielu atmosfer”.

Po wojnie Horzyca współpracował z panią Ireną, jak niegdys. To on pierwszy, zwrócił uwagę na jej niespotykaną osobowość. W artykule napisanym po śmierci Pana Wilama, opowiadała Eichlerówna jak odbywały się z nim wykłady w szkole teatralnej. Zabierał ze sobą słuchaczy do pobliskiej kawiarni. Przy zapachu pačzków przekazywał swe zainteresowania i wiadomości. Umiął później zachować wpływ na dawną słuchaczkę, która się niechętnie poddawała woli innych reżyserów.

Mówiono, że „łatwiej rządzić Polską, niż Eichlerówną”. Horzyca to jednak potrafił. Dzięki tej umiejętności, w kręgu tych oddziaływań, powstała Fedra ze sztuki Racine’a w Poznaniu i Warszawie. Analizowałem uczuciową, jak i dworską stronę tej roli, na lamach katowickiej „Odry”.

Wszystko czego się ją — lub prawie wszystko — nabierało cech osobliwych. Pamiętam Szambelanową w „Panu Jowiaskim”, reżyserowanym odkrywczo przez Jerzego Kreczmara. Aktorka potrafiła sięgnąć po całą biografie drobnie szlachcianeczki, która sobie najpierw zdobyła generała, a owdowiawszy poślubiła miłego i nieudolnego marzyciela z bogatej rodziny. Jak nim gardziła! Nie zapomnę sceny, w której krzyczała na Szambelana. „Czemu stolsz?”, a przerażony Czesław Wołęjko jako Szambelan opadał na podłogę niemal porażony!

Przed kilku laty zagrała w nie najlepszym utworze Dürrenmatta „Fizykach”. W niektórych widzów razila swym stylem niemal manierycznym (szczególnie — osobliwym rozstawianiem i przeciąganiem sylab — choć dla mnie — czarującym. Ostatni kwadrans

obecności na scenie wypełniała Eichlerówna taką intensywnością, tak mocnymi racjami, tylu zaskoczeniami, że przypominała swe najświetniejsze czasy.

Była twarda, uparta, gwałtowna. Czasem wybierała role dla siebie nieodpowiednie, np. w farsowych „Kotach” czy utworze o Zapolskiej. Odrzucała najlepsze propozycje. Bywała nieprzewidziana i osobliwa. Ale jakże niezależna i szlachetna! Gdy jeden z krytyków negatywnie ocenił jej grę w „Marli Stuart” Schillera, oburzano się na to omówienie. Ale pani Irena wzruszyła ramionami i powiedziała: „Wolej jego zjeżdżanie, niż panegiryki panów i pań, którzy niczego nie pojmują”. Otrzymała jednak świetne analizy krytyczne Edwarda Csato w „Teatrze”, później monografię Augusta Grodzickiego. Cale strońnice pisał Andrzej Wirth o jej przymykaniu oczu. Środki oddziaływania artystycznego Eichlerówny można porównać z osiągnięciami niektórych pisarzy jej generacji. Na swój własny sposób umiała nasilić artyzm od rozmiarów takich, jakie wzbudzały podziw u Stanisławy Wysockiej, Ireny Solskiej, Zofii Małynicz, Aleksandry Śląskiej, Elżbiety Barszczewskiej (zresztą krótko i odmiennie).

WOJCIECH NATANSON